

Trzydziestopięciogodzinny tydzień pracy

Autor: **Anthony de Jasay**

Źródło: econlib.org

Tłumaczenie: **Tomasz Kłosiński**

W 1999 roku socjalistyczny rząd we Francji wprowadził prawo skracający „legalny” tydzień pracy z 39 do 35 godzin z utrzymaniem tygodniowej wypłaty i wprowadzając poważne kary za nadgodziny. Stanowiło to wzrost o ponad 11% godzinnych kosztów pracy, częściowo złagodzonych przez tymczasowe obniżenie wkładów pracodawców w emerytalne i zdrowotne składki ubezpieczeniowe pracowników, wynikający zaś z tego deficyt został poniesiony przez ogół podatników.

Zabieg ten został uznany za podwójne osiągnięcie. Był to wielki krok naprzód w rozwoju społecznym, w humanistycznej transformacji gospodarki, aby służyła człowiekowi a nie zyskom, nastanie obiecującego świtu lepszego społeczeństwa. Była to także decydująca wygrana bitwa w wojnie z bezrobociem, choroby chronicznej we Francji, która jest na drugim miejscu pod tym względem ze wszystkich krajów Europy Zachodniej (choć we Francji nadal stopa bezrobocia wynosi ponad 10%, to po kryzysie zdecydowanie wyprzedziły ją Grecja, Hiszpania ze stopą bezrobocia powyżej 20% i minimalnie przegoniły Portugalia i Włochy ze stopą bezrobocia ok. 12%, wyrównała się zaś z nią Austria; reszta Europy Zachodniej plasuje się poniżej, mniej więcej między 3% a 10% — przyp. tłum.).

To, że krótsze godziny pracy zwiększą zatrudnienie, jest oczywistą logiczną konsekwencją ilościowej teorii pracy, która mówi nam, dość przekonująco, iż dane zadanie zostanie wykonane albo przez mniejszą liczbę pracowników przy większej liczbie godzin, albo przez więcej pracowników przy mniejszej liczbie godzin. Jest to oczywiście zwykły truizm, który implikuje (ale nie udowadnia), że zadanie do wykonania (tj. wytworzenie całkowitej produkcji) pozostaje stałe, tak jak ilościowa teoria pieniądza jest zwykłym truizmem, o ile można wykazać, że szybkość obiegu danej ilości pieniądza pozostaje stała (albo zmienia się tylko w ten sposób, w jaki teoria to może przewidzieć); oba są

głęboko zakorzenione w powszechnej opinii, która oczywiście ignoruje kwestię kwalifikacji.

Aby znaleźć naukowe podstawy tego zabiegu, rząd zwrócił się do departamentu badawczego Banku Francji, żeby ten ocenił, o ile krótsze godziny zwiększą całkowite zatrudnienie. Bank Francji wymyślił liczbę 700 000, dodając z kamienną twarzą aneks stwierdzający, że nie jest to prognoza, ale zwyczajny arytmetyczny wynik zastosowania parametrów dostarczonych mu przez rząd. Media nie zwróciły uwagi na aneks, a zwłaszcza na jego ironiczny charakter. W społeczeństwie mniej głuchym na ekonomię, tworzenie miejsc pracy za pomocą ograniczania legalnego czasu pracy zostałoby wyśmiane z miejsca, jak istotnie stało się w swoim czasie w Niemczech i we Włoszech. W mniej etatystycznym społeczeństwie sama idea legalnego czasu pracy, za wyjątkiem być może nieletnich i ciężarnych kobiet, byłaby prawdopodobnie postrzegana jako dziwactwo, arogancja i właściwie bezczelność. Znaczna część społeczeństwa francuskiego jednakże uważała ten zabieg w najgorszym przypadku jako dobrą próbę i z przekonaniem oczekiwała korzystnych skutków.

Na początku 2002 roku stopa bezrobocia z powrotem wzrosła powyżej 9%, pomimo ciężko wypracowanych, wymyślnych polityk tworzenia miejsc pracy, które przyniosły kolejne 1,5% lub więcej populacji czynnej zawodowo na listę płac rządu. Minister spraw społecznych usprawiedliwiał wzrost bezrobocia, wyjaśniając, że amerykańskie spowolnienie docierało do Francji i dynamiczny efekt tworzenia miejsc pracy dzięki trzydziestopięciogodzinnemu tygodniowi pracy toczy się swoim biegiem. Oficjalne szacunki całkowitego efektu wynosiły nieco ponad 300 000 dodatkowych miejsc pracy.

Każdy z odrobiną zdolności rozumowania musiał w tym momencie przetrzeć oczy z niedowierzaniem. Jak to możliwe, że rząd nie potrafi dostrzec ewidentnego i oczywistego rozwiązania? Jeśli przejście z 39 do 35 godzin dało dobry rezultat, ale niewystarczająco dobry, to należy oczywiście przejść z 35 do 31 godzin, a jeśli to nie wystarczy, to trzeba spokojnie i bez obaw przejść do 27, 23 czy dowolnej innej liczby koniecznej do osiągnięcia pełnego zatrudnienia. Mechanizm musi być równie niezawodny jak krzywa Laffera, która mówi, że w miarę obniżania stawek podatkowych, wpływy podatkowe dobiegają do maksimum. Niezrozumiałe jest dlaczego francuski rząd na tym etapie stracił odwagę swoich przekonań i zawiódł w realizacji programu pełnego zatrudnienia. Do likwidacji bezrobocia musiałoby dojść zanim prawo w ogóle zabroniłoby wszystkim pracować.

* * *

W przeciwieństwie do wielkich osiągnięć w matematyce i inżynierii, Francja wydała niewielu ekonomistów wartych odnotowania i wykazuje niewielkie zainteresowanie tymi, których wydała. Gdyby wykazywała więcej zainteresowania dwóm z nich, [Jean-Baptiste Sayowi](#) i [Fredericowi Bastiatowi](#), to ustawa o trzydziestopięciogodzinnym tygodniu pracy mogłaby nie przejść i obecne tu prześmiewcze komentarze nie zostałyby napisane. Say nauczyłby ich, że jeśli wszyscy zaczynają pracować mniej, to produkcja dóbr i popyt na pracę zaczynają spadać, a nie pozostają stałe. Przede wszystkim, haniebnie zaniedbany i niedoceniany Frederic Bastiat (który jest niemal całkowicie nieznany we Francji, choć dość ceniony w Niemczech i Stanach Zjednoczonych) mógłby powiedzieć im, że w życiu gospodarczym są „rzeczy, które widać i rzeczy, których nie widać”. W jego najbardziej błyskotliwym eseju [Co widać i czego nie widać](#) antycypuje on pojęcie [kosztu alternatywnego](#) i według mojej wiedzy jest pierwszym, który go używa i wyjaśnia. Czytanie Bastiata mówi nam, jeśli nic innego tego nie zrobiło, że koszt alternatywny stworzenia 300 000 miejsc pracy, które rzekomo widać, jest niestworzenie lub likwidacja niewiadomej, choć prawdopodobnie znacznie większej, liczby miejsc pracy, które byłyby stworzone w prywatnym sektorze gospodarki — zlikwidowane miejsca pracy, których nie widać.

Nie będzie ich nigdy widać, przynajmniej nie te konkretne miejsca pracy. Jako że zastąpienie administracji socjalistycznej przez centroprawicową nie spowoduje rezygnacji z trzydziestopięciogodzinnego tygodnia pracy, który, wchodząc do kodeksu pracy, stał się świętością, lśniącym kamieniem milowym postępu na drodze dziejowej konieczności. W najlepszym przypadku ograniczenia dotyczące nadgodzin zostaną złagodzone¹, ale „legalny” tydzień pracy już nigdy nie zostanie wydłużony. Trzydzieści pięć godzin stało się elementem politycznej poprawności, a każdy proponujący jego likwidację popełniłby samobójstwo wyborcze i byłby postrzegany i napiętnowany jako łupieżca „praw pracowniczych”.

Najdziwniejszy aspekt tej dziwacznej historii jest taki, że co najwyżej niewielka część ludzi, głównie pracujących matek, odniosła wyraźną korzyść w

1 Zostały złagodzone przez parlament francuski najpierw w 2004 roku, a potem jeszcze bardziej w 2005 roku; ówczesny minister finansów Francji (obecnie prezydent) Emmanuel Macron był zwolennikiem powrotu do 39 godzin, a badania opinii publicznej mówiły, że takie działanie popierała ponad połowa Francuzów — przyp. tłum.

wyniku tego nowego „prawa pracowniczego”. Większość wyszła na nim znacznie gorzej, ale większość ta z pewnością nie zagłosuje za jego uchyleniem. Co jeszcze dziwniejsze, o ile to w ogóle możliwe, to konkretne „prawo”, czyli prawne ograniczenie czasu pracy, nie jest w ogóle prawem, ale pozbawieniem pracowników wolności zawierania umów. Ustawa znosi ich swobodę negocjowania liczby godzin pracy z potencjalnymi pracodawcami indywidualnie, tam gdzie to możliwe, aby zastąpić ją negocjacjami zbiorowymi, gdy indywidualne dostosowanie nie jest możliwe. Ależ zaskakuje takie użycie języka, nazywanie znoszeniem ważnej wolności rozszerzeniem „praw” — użycie, które jednak wydaje się nikogo nie szokować.

Istnieje gałąź [teorii wyboru publicznego](#), która utrzymuje, że przynajmniej w demokracjach, „społeczeństwo” dostaje wyniki, które preferuje. Jeśli dane rozwiązanie jest preferowane przez większość, to ona głosuje za nim. Jeśli danego rozwiązania pragnie jedynie mniejszościowa grupa interesu, to zostanie ono wybrane pod warunkiem, że interes grupy nacisku jest wystarczająco silny, a większość jest stosunkowo obojętna. Uważam, że moja opowieść o trzydziestopięciogodzinnym tygodniu pracy jest jedną pośród wielu ilustracji, że tak w istocie nie jest. „Prawa pracownicze” tego typu i cały paternalistyczny aparat redystrybucji państwa opiekuńczego jest podstawową przyczyną mizernej wydajności tych gospodarek. Wzrost produktywności w poprzedniej dekadzie, a nawet dłużej, wśród tych narodów, które są bynajmniej nie mniej bystre i nie gorzej wykształcone niż Amerykanie, był o połowę mniejszy od wzrostu amerykańskiego. Jest to rozbieżność, która jeśli się utrzyma, to powinna je głęboko martwić. Bezrobocie w najbardziej socjalnych z tych państw opiekuńczych jest haniebnym. Jednak niewiele osób jest naprawdę świadome tego związku przyczynowo-skutkowego; a ci, którzy są świadomi, często nawet zaprzeczając samym sobie, pocieszają się, że „model europejski” jest niemniej efektywny, ale w swoim humanizmie doskonalszy od modelu amerykańskiego.

Tego typu przekonania, tak konieczne dla zachowania europejskiego poczucia własnej wartości w obydwu częściach spektrum politycznego, są jedną z przyczyn, dla których wielu ludzi nie opowiada się za rozwiązaniem, które w rzeczywistości preferują. Kolejną i być może silniejszą przyczyną jest hipnotyczna, otępiająca siła luźnego i prostackiego wykorzystywania języka. Trzydziestopięciogodzinny tydzień pracy jest ograniczeniem, a nie prawem. Swobodnie nazywa się je „prawem pracowniczym” — co uchodzi płazem niekwestionowane i niekarane szyderstwem — pracownicy zaś nie muszą być

długo przekonywani, że im więcej mają „praw”, tym lepiej dla nich. Czy można więc od nich zasadnie oczekiwać, aby „zobaczyli rzeczy, których nie widać”, a mianowicie, że ponoszą koszt alternatywny?